

# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— Poznań, 20 stycznia 1889 r. —

Nr. 3.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski” w redakcyi, płacą tylko 1,50 m. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.” kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

## W I E R S Z

na 58-mą rocznicę

### LISTOPADOWEGO POWSTANIA.

Gdy w wiekopomnej nocy listopada  
Wicher zapłacze w grochowskiej olszynie,  
To liść pożółkły z gałęzi opada  
I w wirze tańca ku mogiłom płynie.  
Czasem odpocznie na uschniętej darni,  
Jakby szalonym płasem utrudzony;  
Czasem się zerwie, by zaszeptać gwarniej  
I wartko krążąc, wić grobom korony.  
Czasem z podmuchem eolskiej swawoli  
Przez bruzdy mogił z szumem się przeciska,  
Wzbija się w niebo przy kościółku Woli,  
Wieżę dzwonnicy swym wiankiem okrąża  
I rozszalały pędzi na smug Książa  
I na ostatni cmentarz — Grochowska,  
By, kłócąc ciszę jękami zamieci,  
Zapytać mogił: gdzie są wasze dzieci?  
Gdzież spadkobiercy tego testamentu,  
W którym nie piórem, lecz ostrzem ze stali  
I krwią z żył własnych zamiast atramentu  
Przodkowie wnukom ten rozkaz pisali,  
Co w szumie olszyn godnych być wawrzynem  
Brzmi tajemniczo: *Walcz usque ad finem!*

Gdy ten szept liści z grobów bezpotomnych  
W dal z wichrem pędzi i powraca echem,  
To wieka trumien rycerzy niezłomnych  
Szyderstwa wnuków brzmią niekiedy śmiechem.  
Bo jedni krzyczą: precz, szepty mogiły!  
Precz, puste dźwięki poetów plejady!  
W imię postępu czcimy prawa siły!  
I jeśli chcemy uniknąć zagłady,  
To, marzycieli wyrzekłszy się miana,  
Weźmy za dogmat naukę Hartmana!

A inni jeszcze, jak marzeń Pegazy,  
W rydwan przyszłości natchnień zaprzągnięte,

Chcą mijać własnych dziejów drogowskazy,  
Bo Kołłątajów groby niewkłęśnięte...  
I błyszcząc wzrokiem nieswojskiej Meduzy,  
Pędzić w otchłanie nicestw epopei,  
A resztki szanów zmieniać w proch i gruzy,  
Wołając Polsce: tu nie ma nadziei!

Na takie hasła, brzmiące w nieszczęść nocy,  
Odzew rzucają stada nietoperzy;  
Goliaci zbrodni szydzą z prawa procy,  
Niekolysanej tchnieniami młodzieży —  
I gdy rozbita dawna armia duchów,  
Jak kłos złamany wśród wichru podmuchów,  
Chyli ku ziemi czoło niegdyś dumne —  
Jak gdyby chciała, patrząc w własną trumnę,  
Dziejowej myśli szukać przeobrażeń,  
By sztandar przodków ocalić od skażeń —  
To sztab zwątpienia, drwiąc z poświęceń tarczy,  
Która już niby na ciosy nie starczy,  
W kast samolubstwie szuka zbawiciela;  
Szydź z Kossutów, choć nie ma Deaków,  
A tym, co swego żądają Parnela,  
Grozi podstępnie widmem Żeleźniaków!...  
Więc kurhan sławy depce najazd hardy,  
Świt ocknień czerni dym rzymskich kadzideł,  
Kawury, wzrosłe z własnych praw pogardy,  
Karpacki Piemont kryją siecią sideł,  
W które chwytają duch młodych pokoleń  
Na lep obietnic szczęścia bez wyzwoleń!

To też harf wieszczych popękały struny,  
Srom Kościuszkowskie rumieni całuny,  
Łza w oczach niewiast, starców i tułaczy  
Połyska łuną bezsilnej rozpaczy;  
A lud, co w zmierzchu czeka rannej zorzy,  
Widząc zwątpienia widnokrag dokoła,

Błądzi samotnie wśród nieszczęść rozdroży,  
Darmo o litość chmurnych niebios woła,  
Darmo na pomoc starszej braci czeka,  
Ginąc za wiarę w polach Garwolina,  
Bo szlachta drzemie, a przedświt ucieka;  
Pastorał rzymski przed knutem się zgina  
I wśród zdumienia chrześcijańskiego świata  
W symbol męczeństwa ozdabia pierś . . . !  
A z mętnych prądów niemocy duchowej  
Upior wsteczności powstaje zuchwale,  
By krwawą nawę sprawy narodowej  
Pchać na obłędów średniowiecznych fale.  
I gdy z katowskiej bezmyślności butą  
Car krwawym knutem, a junkier szpicrutą  
Smagają w łono omdlałej macierzy,  
To ona wokół szuka tej młodzieży,  
Która wśród burzy polotu nie traci,  
Lecz, tchnień tłumionych przechodząc męczarnie,  
Śledzi, jak zdrada szerzy się bezkarnie:  
Jak wrogom ziemię sprzedają magnaci,  
Jak lud, w ciemnocie trzymany przez wieki,  
I dzisiaj bratniej pozbawion opieki;  
Jak dziejopisy trwożne ocknień Sparty  
Plamią rozmyślnie jasne dziejów karty!  
Jak posły nasze w poddańczych adresach  
Ćmią imię Polski na krzyżackich kresach;  
A świat handlarski, święcąc zbrodni łupy,  
Rzuca nam w twarzę okrzyk: wyście trupy!

I wokół duszno — ciemno, jak przed burzą,  
Rumieńce świtu krucze stada chmurzą  
I tylko olcha nad siermiężnym gminem  
Szumi wciąż hasłem: *Trwaj usque ad finem!* . . .

O! gdyby można zakląć w strofy hymnu  
Ten szum olszyny wzniosły i proroczy,  
By brzmiał hejnałem nad mogiłą zimną,  
Wstrząsając głazem, co pierś Matki tłoczy! . . .  
I gdy nam wszyscy wzgardzą za krew płacą,  
A Bóg opuszcza — by ich pytał: za co?

Czyż za to, żeśmy Tytanów pierściami  
Na polach Orszy, Grunwaldu i Wiednia  
Postęp ludzkości zasłaniaли sami,  
Jak opuszczona przez armię straż przednia —  
I z własnych ruin śmieli sypać szaniec,  
By jej nie zgnębił dziejowy pohaniec!?

Czyż za to, że świat wrokiem Viteliona  
Ujrzał, jak spada z praw światła zasłona;  
Że Jozuego obłędów obrońca  
Nad Wisłą witał prawdziwy blask słońca,  
A męże wiedzy i dziś szukać muszą  
Świtu na szczytach Wrońskiego geniuszu?!

Czyż za to także, że w sferze zachwytoń  
Orzeł rozwinął skrzydła srebrnopióre,  
Chcąc z pod obłoku dziejowych przedświtów  
Spłoszyć kirową samolubstwa chmurę,  
I siłą lotu, nie potęgą szponów,  
Porywać ludy nad wyżyny tronów?

Czyż za to, żeśmy idee braterstwa  
Pierwsi szczepili w Europy łonie?

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Czyż za to wreszcie, że gdy w Polski łono,  
Tchnące miłością nawet i dla wroga,  
Trzy obce miecze zdradnie zatopiono

Wobec ludzkości i w obliczu Boga,  
To Ona dłonią nowoczesnej Sparty  
Podniosła sztandar zbrodniozo rozdarty,  
Krwia na nim znacząc wzniosłe hasło lasze:  
„Za moją wolność i swobody wasze!”

Lecz pociż protest, gdy go nikt nie słuca? . . .  
Gdy ludzkość, drżąca przed tryumfem zbrodni,  
Lizę ogniwa niewoli łańcucha,  
Który chcą targać tylko ludzie głodni?

Nacóż tę skargę nieść przeszłości chwałą,  
I z pozwem cnoty wśród bezprawia błądzić,  
Gdy już i w niebie nie ma trybunału,  
Któryby krzywdy nasze chciał osądzić?

I pociż wreszcie ze łzami boleści  
Do ran przytulać dziejowe wawrzyny,  
Miast brzmieć w hymn czynu, co w swych tonach mieści  
Akord dla hasła grochowskiej olszyny!?

Czyż nas już nie stać na te wzniosłe tony,  
Zdolne przebijać strop chmurnych niebiosów?  
Czyżby już najazd tak zdeptał zagony,  
Że i w ćwierć wieku nie wydają kłosów?  
Zgniłyż korzenie wytrwania jesionu,  
Co dumne czoło stawił każdej burzy?  
Pękłoby serce stuletniego dzwonu?  
Czyż nie wśród nocy zarania nie wróży?  
Czy wobec siły zwierzęcej wybuchów  
Broń już złożyła cała armia duchów?  
I kiedy zbrodnia szaleje dokoła,  
Czyż nikt na prawa czcicieli nie woła,  
Aby wytrwali ideałom wierni,  
Jaśni postępem i cnotą pancerni?

O! pieśni łzawa, jak wygnanie — smętna!  
Jeśli, boleści pojona zachwytem,  
Zamiast podwając bratnich pulsów tętna,  
Masz brzmieć rozpaczony przejmującym zgrzytem;  
Jeśliś niezdolna, błędząc w mogiłę cieniu,  
Zatlić swym zarem otuchy pochodni,  
Jeżeliś echem mdlejących w zwątpieniu,  
To zmilknij raczej — boś jest echem zbrodni!!

Bo choć gad szemrze w cmentarnem ustroniu,  
Młodzież serc biciem, a kwiaty swą wonią,  
Gniazdka świegotem, a brzozy szelestem  
Głoszą ożywcze, nieśmiertelne: *jestem!*  
A kto z nastrojem niezłomnego ducha  
Wpatrzy się w ziemię i w jej drgnienia wsłucha,  
To przez powłokę widomego kału  
Dostrzeże w głębi wulkan ideału!  
I pośród wrzawy, co prawdzie dziś bluźni,  
I w imię zbrodni uraga się z cnoty,  
Dołyszysz łoskot Cyklopowej kuźni,  
W której czas ostrzy Nemezyjskie grotty! . . .  
Więc choć wśród mogił tak nam duszno, chmurno,  
Że śmierci powabów zazdrości,  
Podnieśmy czoła nad krwi naszej urną,  
Bo z niej spływają rubiny wolności!

Wszak wobec przyszłych uraganów znamion  
Orlątom skrzydła szumią już u ramion;  
Wszak drżą grabarzy ucztujące tłuszcze,  
Czuając, jak w piersi ludowej granicie  
Młodzież już szczepi wiecznotrwale bluszcze —  
I z szczelin skały chce dobyć to życie,  
Co z szczytu Karpat w Alpy i Wogezy  
Blaskiem odpowie jutrzence genezy! . . .

Wszak ponad armat — bagnetów miliony,  
Strzegące fałszu, grabieży, podłości,  
Ponad reduty i zbrodni bastiony  
Wznosi już czoło archanioł przyszłości!...  
I Heraklesa prawicy zylastej  
Poleca wypleć rozbijałe chwasty;  
Z drzew pasorzytne pozdzierać jemioly,  
Zamknąć koszary, otwierając szkoły,  
A z piersi własnej wzięwszy Żnicza błyski,  
Zmienić łuk tęczy w biegun tej kołyski,  
Co swem kwileniem zgłuszy konań psalmy,  
A tchnieniem miecze przeistoczy w palmy!...

O! Polsko nasza, Ty z mogilnej próby  
Podniesiesz czoło ku prawdy zenitom,  
Jeśli swych losów powierzysz rachuby  
Porywom serca i ducha zachwytom!  
I jeśli wytrwasz czysta, nieskalana  
Wpółśród dziejowych obłędów manowca,  
To ludy kiedyś padną na kolana  
Przed świętym gruzem Twojego grobowca!  
A Twych przeznaczeń polot tryumfalny  
Pokaże światu na szczytach Golgoty  
Boga, co wiecznie jest odpowiedzialny  
Za tych, co giną pod sztandarem cnoty,  
I nie słów dźwiękiem, lecz poświęceń czynem  
Roznoszą hasło: *Walcz usque ad finem!*

Erwan.

Paryż, dnia 29 listopada, 1888.

„Wiersz“ powyższy wygłoszony był przed kilku tygodniami na uroczystości 58 rocznicy powstania listopadowego, urządzonej przez zarząd „Towarzystwa czytelnicy polskiej“ w Paryżu.

Wspaniała ta, wprawdzie goryczą zwątpień zaprawiona, ale duchem smutnej prawdy owiana, a miłością ojczyzny kipiąca pieśń — nadesłana nam łaskawie została przez Szan. Autora, który dawniejszy nasz „Dwutygodnik“ i „Tygodnik“ raz po raz świetlanymi błyskami poetycznego swego natchnienia oprzemieniował i zdobił.

Dzięki składając z tego miejsca polskiemu śpiewakowi na wygnania ziemi za oddźwięk przypomnienia.... polecamy nadal Jego pamięci pismo nasze i prosimy, aby od-tąd częściej wstępować raczył w ciche, smętne progi „Domu polskiego“ z lirą swoją z złotą, a może mieć ona będzie cudowną siłę „o drżących strunach królewskiej harfy“ Derwida — i może

W krąg staną węże, tak wyprostowane,  
Jak morskie fale wzdęte!... przy niej

i może „rozplakana“

zaczaruje zwycięstwo!...  
Bo każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi,  
Na rumaku wybiega szalonym!

Przepraszamy Szanownego Autora, że — zmuszeni koniecznością — opuściliśmy w druku kilka ustępów, co przecież pięknej całości nie zmienia, ani psuje.

(P. R.)



## Nieco o obyczajach staropolskich.

Od Bożego-narodzenia do środy popielcowej wesołość i ochota nie opuszczała miast i dworów polskich. Wszystko, co żyło, weseliło się serdecznie: śpiewy, muzyka i tańce napelniały licznem towarzystwem gościnne komnaty, a wspaniałe puhary, obiegające wokół srebrnym zastawionych stołów, dodawały tem większej uciechy i energii zabawie. Błogie to były czasy! — Najgłówniejszym jednakże charakterem zabaw staropolskich, na ten czas przypadających, przemawiają do nas *kuligi*, których opisanie jedynie historycznym badaniom zawdzięczamy. My już nie widzieliśmy staro-polskiego kuligu, żyjemy bowiem w czasach, w których śmiech wesela i ochocza zabawa ironią życia nazwaną być może, żyjemy w czasach wielkiej kary Pana Boga, szczerzej pokuty za grzechy i serdecznej modlitwy o miłosierdzie. Choć zaś tu i owdzie słyszy się jeszcze o kuligu — nie jest to jednak ten kulig, o którym pisać tu mam zamiar — bo nie może mieć za swoją podstawę tych żywiołów, na jakich ta zabawa w naszym urodzie. W ostatnich dziesiątkach lat naszego narodowego życia mogły się gdzie szczerze rozśmiać szczerą ochotą usta, uderzyć serdeczną swobodą serca? — Mogłże narod nasz, tysiącem ciężarów przygniecion, dorosł tej zbyt kownej, a przecież dawniejszej zamożności odpowiedniej zabawie, aby nic z jej narodowego charakteru nie uronił? Zamożność, serdeczna ochota i swoboda serca, gościnność i dowcip — oto najgłówniejsze przymioty kuligów... a gdzie ich dziś szukać pomiędzy nami?!.. Kulig przeto, jakięgo obraz podajemy, to fakt z historyi obyczajów staropolskich, fakt przebrzmiały, który jednak w miarę stałości charakteru Polaków na nowo kiedyś zabłyśnie, gdy miłosierny Ojciec nasz modłów naszych przyjmie do siebie wołania, gdy lepsza zawita dola, zagaśła wróci na usta wesołość i ochota... Daj, Boże! abyśmy wkrótce znów jechali staropolskim kuligiem; tymczasem poznajmy stary obyczaj, przypatrzmy się, jako się dawniej ojcowie nasi bawili.

Celniejsi z pomiędzy młodzieży, rej między swymi wodzacy, byli głównymi kierownikami urządzającego się kuligu, który się także *szlichtadą* nazywał. Wesołe i ochocze dziewczęta należały do tego przygotowania, układając z swemi mateczkami tajemnie czas, miejsce i termin trwania kuligów. Klimat naszej ziemi był zupełnie zabawie tej odpowiednim. Trwająca dość długo zima, śnieżnym płaszczem okrywając urodzajne polskie łany, pozwalała ochoczo ubawić się szlichtadą młodzieży — w dobranem i serdecznem towarzystwie niejednego płątajęcej figla. Ale figiel ten, ten żarcik nikomu nie szkodził nigdy — nikogo nie obrażał, owszem częstokroć zwaśnionym dłoń pojednaniem uściśnął. O! jakżeż niecierpliwie zebrana rada młodzieniaszków wyznaczonego na kulig terminu oczekiwała, ileż to prognostyków zachmurzało białe i pogodne czołka dziewczeczek, którym te i owe przepowiednie na dzień rozpoczęcia kuligu słotę rokować się ośmielały. To mróz w „Gromnicę“ zapowiadający odwilż, gdyż niedźwiedz, sądzący, że już dosyć zimna, zburzył swoją zimową budę, przerażał ich niepogodą i niepodobieństwem *szlichtady*, to święta Agata, to kalendarzyk od świętej Łucyi do Bożego-narodzenia obliczony — trwogą napelniały ich serduszka, a wiara w kalendarz baśni ludowych nieraz i łezką w pięknych zaświeciła oczkach. Ale też za to coż za radość, coż to za uciecha, gdy wszystko dopisało zamiarom! Wtedy

u przywódcy swego zbierała się młodzież, „przesadzając się na kształtny zaprząg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo dokąd je spraszano, a ruszano z powinszowaniem świąt szczęśliwych“.

I wyobraźcie sobie, szanowni Czytelnicy, tę gęstwę srebrnym śniegiem skryształizowanego lasu. Czarny zmrok zimowego wieczora zagasił wielkie słońce na niebie, gwiazdki blade migotają na sklepieniu świata, gdy nagle w tej gęstwie brylanty zmarzniętych krzewin coraz większego nabierają blasku, i jak gdyby sto gwiazd oderwało się od ciemnego stropu nieba, w szczelinach owego boru sto nowych połyska świąteł. Skrzyp sanek, tentent koni, brzęk dzwonek i kółek nawieszanych, odgłos muzyki, trzaskanie biczów, w takt się odzywające, okrzyki wesołych i hałas coraz głośniejszej wrzawy dziwną w powietrzu stwarzają harmonią ochoty i wesela.

W tym brylantowym lesie to kulig jedzie wesoły! Jedzie do najbliższej wioski, do najgościnniejszego dworku, jedzie — zbliża się do bramy. Na jego powitanie kmiotki i ich całe rodziny gromadą biegną naprzeciw, a strój ich naprędce złożony świadczy, że ze snu ten kulig ich obudził, kmiotki te napół ubrane, bose. Gospodarz i gospodyni wychodzą naprzeciw gościom, i zaraz pierwszy oddaje im klucze od piwnicy, a druga od spiżarni. Dowód to, że *kulig* wszystkiego używać ma prawo, „czem tylko chata bogata.“ Po przywitaniach i powinszowaniach cała družyna rozsiedla się we dworze, i gdy muzyka wesołego ucina, rozpoczynają się tańce. Mimo zimy zabawa ta odbywa się przy otwartych oknach, i dla tego też dworska czeladź i ciekawe kmiotki, zaglądając przez nie, tłumnie zbiegają się pode dwór. Dopieroż przy tańcu ochota zaczyna się ożywiać! Kielichy z rąk do rąk przelatują bez ustanku, wiwaty za pomyślność tysięcy okoliczności dodają ognia i fantazyi. Jakkolwiek zaś kulig taki z bardzo wielu składał się nieraz osób; jakkolwiek dwór, który go podejmował, nie wiedział o jego zajęździe: to przecież nie brakło nigdy jadła w spiżarni, ani napoju w piwnicach. Ta gotowość, świadcząca z jednej strony o zamożności naszego kraju, jakżeż piękne daje świadectwo z drugiej strony szczerości uczuć i uprzejmej, serdecznej przyjaźni! Gdy się już natańczono, zastawiano gościom wieczrę, a z tego, co się dotąd nadmieniono, wnieść bardzo łatwo, jaka tam suta wieszczka bywała. Gdy był w domu dostatek, a nie żałowano niczego, to i czegoś tam komu zabrakło! Po wieczery płaśy i śpiewy trwały najczęściej aż do białego dnia. Zmęczeni tańcem udawali się wtedy na spoczynek, do którego prócz całego dworu i karczma i folwark i probostwo i organistówka i chałupy kmieccy stały im otworem. Tymczasem, gdy goście kuligowi spoczywali, gospodarstwo krzątało się około śniadania. Na to więc zbiegali się po małym wycieczku kuligowi i w płaśach na nowo weselem dwór cały napełniali. Zdarzyło się, że zabawa przeciągała się do obiadu, a bywały także i takie kuligi, które w jednym domu trzy dni najweselsiej spędzały. Potem gospodarstwo zabierali się z kuligiem w podróż, zwiększając jego orszak wszystkimi w domu bawiącymi osobami. Tym sposobem rosł kulig coraz bardziej, bo z każdego dworu ktoś niezawodnie doń się przyłączył. Na takich kuligach prócz zabawy różne zawiązywały się stosunki. Dawne zatargi, poróżnienia, urazy i waśnie w serdecznej ochocie kuligu tonęły w zapomnieniu. Przebrani w różne maski i kostiumy umieli zręcznie rzecz zawiązać niespodzianie i obcesowo rozwikłać; ale najczęściej dwa serca, zbliżone ku sobie na kuligu, nie rozdzieliły się już potem aż śmiercią. Maski, używane na kuligach, przedstawiały różne narodowości, jak: Greka i Greczynkę, Turczynów, Murzynów, Krakowiaków i t. d. Były też i arlekińskie w czapkach z dzwonekami, a ci wypadali zawsze na czele kuligu, wjeżdżającego do bramy, bijąc trzepakką i śpiewali, skacząc:

Edźgi dźga ha! ha!

Edźgi dźga ha! ha!

Edźgi dźga ha! ha!

Jeżeli się czasem zdarzyło, że kuligowi wypadało zajechać w dom niezbyt zamożny i tak niedostatni, iżby bez uszczerbku mienia nie mógł ugościć najezdźców przyzwocie, to wtedy nadesłano mu zwierzyny i ryb obfitość, co wcale jego godności nie ubliżało. Zgoła — obraz kuligu jest jak najchlubniejszym wyrazem szlachetnego charakteru naszych przodków tak pod względem gościnności, otwartości i wzajemnej harmonii uczuć, jako też pod względem ochoczej i rzeźkiej wesołości, która zawsze czystego tylko sumienia jest godłem!

Kuligi początkiem swym sięgają bardzo dawnych czasów. Charakteru jednak włoskiego nabrały dopiero w czasach Zygmunta Igo, którego żonka wielu obyczajów naród nasz nauczyła. W wieku XVII były jeszcze kuligi w Polsce w całej okazałości odprawiane, wiek dopiero Augustów zdjął z nich całą szatę uroku narodowego i zamienił w *Reduty*. Marya Kazimira zostawiła po sobie w historii obyczajów naszych dobrą pamięć ostatniego może co do świetności swojej kuligu. Kulig ten odbył się dnia 20go stycznia, 1695 roku, w Warszawie. Opis jego wspomina o wielkiej okazałości, tak co do ludzi i strojów, jako też co do kosztownych przyborów sań, perskimi okrytych kobiercami, lampartami, sobolami i różnymi drogimi futrami.

Później za Augusta II poczęła już znikać starodawna świetność i okazałość kuligów. Ich miejsce zastępowały *Reduty*, najpierw za tegoż króla w Warszawie urządzone. Pierwsze *reduty* były przy ulicy Piekarskiej, a okazałość i przepych, z jakimi się odbyły, przewyższał wszystkie inne zabawy. Do *redut* tych tak później nabrano ochoty, iż je nietylko w czasie zapust urządzano, ale bawiono się niemi także od 1 października do adwentu. W Warszawie na *reduty* karnawałowe sprzedawano po 9000 biletów, pomimo że cena jednego 9 złp. na owe czasy była wysoka. Na takie *reduty* maskowano się rozmaicie. „Osoby wchodzące miały *domino* (czyli płaszcz kitajkowy), albo wyszukane jakie wspaniałe, lub osobliwe ubiory.“ W Warszawie samej nie w jednym tylko miejscu i nie o jednym czasie odbywały się *reduty*. „Przejeżdżających z jednej na drugą wpuszczano za *kontramarką*. Nie wolno było wchodzić z bronią, ani bez maski.“ Jako zaś obyczaj ten, przyjąwszy się u nas, ważności i znaczenia w krótkim nabrał czasie, pokazuje się stąd, że *reduty* oddane były pod opiekę sądów marszałkowskich, które za tę opiekę znakomitą od kraju pobierały pensyą. Szczególniej też przypadły do smaku *reduty* „wielkim paniom.“ Te nigdy nie opuszczały *redut*, które jednak najliczniejszemi bywały na początku i na końcu karnawału. Odwiedzanie *redut* przez bogaczy sprawiło wielką drogość sprzedawanych na nich przedmiotów. Nieraz bardzo wiele trzeba było stracić na jednej takiej warszawskiej *reducie*. Filizanka herbaty kosztowała 12 groszy (przeszło 3 złote dzisiaj), szklanka limonady lub orszady *tynfa*\*), czekolady 2 *tynfy*, angielskiego piwa szklanka 4 *tynfy*. Kapłon pieczony, albo cielęcina talar bity (6 złp. dzisiaj). Sług na *redutę* nie wpuszczano, warta gwardyi konnej z oficerem była przy drzwiach. „Kto nazbyt hałasował, wyprowadzon i wzięty był do kozy.“ Za *Aupusta* III znane były *reduty* już i w naszym Poznaniu, w Lesznie, we Lwowie i Wilnie. Później coraz bardziej się rozpowszechniły, a w miarę rozpowszechnienia upadały coraz bardziej. W ostatnich latach *reduty* zostały prawie zupełnie zamiedbane; a że o nich dzisiaj nikomu myśleć nie wolno, czujemy wszyscy, kłękając codziennie pod krzyżem ze łzą w oku, z żalem a nadzieją w sercu, z modlitwą o pociechę na ustach.

\*) *Tynf* pochodzi od nazwiska dzierżawcy mennicy, który miał pozwolenie bicia złotych, zwanych od niego „*tynfami*“. *Tynf* z początku znaczył 12, później 18, a nakoniec 33 grosze.

# Bigarreau.

Nowela

Andrzeja Theuriet.

(Tłom. J. D.)

(Ciąg dalszy.)

Podczas tej rozmowy, rozstrzygającej o losie młodego zbiega, Bigarreau siedział za wierzbą, oczekując rezultatu z bijącym sercem. Dawno już nie doświadczał podobnego wzruszenia. — Było mu smutno i rozkosznie zarazem. Spotkanie z Noriną, oraz sposób, w jaki mu dopomogła, były dla biedaka, uważanego dotąd zawsze za wyrzutka w społeczeństwie, czemś zupełnie nowem — wydarzeniem, graniczącym prawie z cudownością. Drżał, żeby te niespodziewane widoki nagle się nie rozbiły, lub nie znikły na kształt ważki niebieskiej, której skrzydła właśnie widział nad strumieniem, a która umknęła niepowrotnie. Minuty wydawały mu się strasznie długie, a jakkolwiek czekał dopiero od kwadransu, zaczynał upadać na ducha.

— Ach! — myślał — nie chcą cię tam. — W tej samej chwili jednak usłyszał z wyrębu umówiony sygnał: „kuku! kuku! kuku!“ Wskoczył z ukrycia i poszedł wskazaną przez Norinę drogą; wkrótce ujrzał ją pomiędzy dwiema kłodami.

— Chodź — rzekła zadyszana biegiem — ojciec weźmie cię na próbę. Powiedziała mu, że nazywasz się Klaudyusz Pinson i byłeś w służbie u koszykarzy, którzy cię wybili. Uważaj sobie to dobrze, żebyś się nie zdradził, gdy cię zapyta.

Wstrzymała się dla zaczerpnięcia oddechu i wilgotnym wzrokiem spozjrzała w niebieskie, wdzięczności pełne oczy chłopca.

— Byłam zmuszoną — ciągnęła — ojca okłamać, aby go życzliwie usposobić. Cięży mi to na sercu kamieniem; staraj się więc, żebym nigdy tego nie pożałowała.

Po raz pierwszy w życiu Bigarreau poznał, co dobroć znaczy, i po raz pierwszy także oczy jego napelniły się łzami, nic wspólnego niemającymi z bólem, lub gniewem. W głębi serca jego obudziło się uczucie właściwe każdemu człowiekowi. Wzruszony do głębi, chwycił jej rękę i uścisnął ją w swych grubych, spuchniętych palcach.

Dziewczyna zatrzymała rękę przestępcy w swych dłoniach i tak razem poszli do warsztatu pod gołem niebem, gdzie ojciec Vincart zabrał się na nowo do roboty, ciosając trzewiki z grubszego.

— Oto jest Klaudyusz Pinson! rzekła Norina.

Sabotnik spojrział i zmierzył Bigarreau, który zmieszany tarł ręce, badawczym wzrokiem od stóp do głowy.

— Silny chłop — mruknął w końcu z zadowoleniem — jeśliby miał tyle ochoty do pracy, jak na to wygląda, zgodzilibyśmy się z sobą. Norina opowiadała mi o tobie, mój chłopcze, wezmę cię na próbę. zobaczymy, co potrafisz. Tu musisz rażno pracować, ale cię bić nie będę. Rozumiesz?

— Tak, panie.

— Dziś Norina zapozna cię z rzemiosłem; a rozumie je tak dobrze, jak mężczyzna — nie znam równego jej w użyciu skrobaczki i nikt tak, jak ona, nie potrafi nadać ostatniego wygładzenia trzewikowi. Jutro dam ci w ręce narzędzie, zobaczymy, jak z niem postąpisz.

## IV.

Druga godzina. Las, upojony palącymi promieniami słońca, zdaje się drzeć. Na dużym kamieniu nad potokiem, w tem miejscu wązkim, lecz rwącym, siedzieli: Norina Vincart i Bigarreau, spuściwszy nogi do wody. Zdjęli trze-

wiki, a fale, cicho szemrząc, w szybkim biegu oplókiwały im stopy.

Uplęły już dwa tygodnie, odkąd fałszywy Klaudyusz Pinson terminował u ojca Vincart. Używany był do rżnięcia i rozłupywania ściętych kłód buczyny, a będąc zwinnym i silnym, wykonywał robotę wybornie.

Ta dwutygodniowa przestrzeń czasu minęła dlań, jak jedna szczęśliwa chwila. Jakkolwiek ojciec Vincart był niecierpliwym zapaleńcem, posiadał najlepsze serce; co się zaś tyczy Noriny, ta szczerze polubiła swego pupila, a ponieważ, jako uparte i rozpieszczone dziecko, mogła ojca owinąć o mały palec, zatem nowemu przybyszowi uczyniła życie nader przyjemnem. Przerobiła mu na odzienie starą kitlej ojcowską, a w szopie, gdzie przechowywano saboty, obok czworoboku z słomy i paproci, na którym sypiał nieobecny czeladnik, urządziła mu poślanie. Tu, otulony w derę końską, spał smacznie do świtu, i dopiero śpiewem drozda i głosem wstającej Noriny budził się rzezki i świeży. Chociaż w wyrębie ojca Vincart pracowano gorliwie, znalazł się jednak czas i do zabawy, a wśród dziennej roboty były także godziny wytchnienia.

Praca rozpoczynała się o świcie i trwała do śniadania. W południowych godzinach, gdy upał był najuczulliwszy, sabotnik odpoczywał, i dopiero około czwartej robotę na nowo podejmowano. Norina i Bigarreau, korzystając z chwil wolnych, przebiegali otaczające ich cieniste lasy. Dziewczyna gibka, jak jaszczurka, a jak wiewiórka, żywa, wtajemniczyła go dokładnie w życie leśne. Umiała zastawiać sidła na zające i chwycić ręką pstrągi i raki w strumieniu. Znała wszystkie miejsca w lesie, jako też trawę obrosłe ścieżki, gdzie się grzyby udają; i zawsze z kozaków i masłaków miała obfite żniwo. Ten samotny rodzaj życia wśród lasów tyle korzystny dla zdrowia, i krążeniem po zaroślach przerywane zajęcia pod gołem niebem — szybko przemieniły Bigarreau. Nie był to już ten chytry i bojaźliwy więzień, na którego grzbiecie dozorca bat swój zaprawiał, ani też długą włóczęgą i szkodliwym obcowaniem z przystępcami popsuty niepoń; dobra natura jego odniosła zwycięstwo. Dzięki codziennemu stosunkom z małą, dziką czarodziejką, która stała się jego towarzyszką i mistrzynią zarazem, odkrył w sobie zaród tkliwości i zdolność uczucia, czemu sam się dziwił.

W tej chwili Bigarreau zanurzył z rozkoszą nogi w prądzie strumienia — a cała jego istota rozplywała się w morzu szczęśliwości, jeszcze więcej orzeźwiającej, niż świeża woda źródłana.

— Coż, Klaudyuszu — rzekła Norina, spoglądająca nań ukradkiem — czy cię tak upał oniemił? — Jesteś milczący, jak ryba.

— Nie upał — odpowiedział — ale zadowolenie. Zdaje mi się, jakobym śnił i boję się obudzić. Nieraz w więzieniu, śpiąc w łóżku wiszącym, śniłem, że jestem wolny, a gdy się wtedy obudziłem i spostrzegłem, że to sen tylko, szybko starałem się zasnąć na nowo, ażeby ów sen trwał jak najdłużej. Teraz jest ze mną tak samo; nie śmiem się stąd ruszyć z trwogi, aby nagle strumień — wyrąb — i ty, Norino — nie ulotniliście się, jak dymu obłoczek — a ja abym nie znalazł się w szponach dozorców.

— To jedynie od ciebie zależy, żeby wszystko pozostało, jak jest. Ojciec z ciebie zadowolony, mówi, że masz wielką zdatność do naszego rzemiosła. Zatrzymałby cię chętnie, jeżeli — dodała z złośliwym mrugnięciem — jeżeli nie nudzi ci się u nas.

— Och! Norino, jak możesz mówić coś podobnego! — Czuję się przy was tak szczęśliwym!

— Skoro tak — ciągnęła panna Vincart stanowczym tonem — bądź zatem zadowolony i nie trap się wyszukiwaniem trudności, których nie ma! Dziś mamy wolność do wieczora. Ojciec nie wróci z jarmarku w Gurgis przed nocą. Możeby robić, co nam się podoba, a że w tej chwili jestem senna, przedrzemię się najpierw w trawie.

Wskoczyła na kamień i wyciągając ramiona, dozwo- liła osączyć się zaczerwienionym, wodą ciekącym nóż-

kom na słońcu. Poczem zmierzyła wzrokiem otoczenie potoka i odkryła zacięzioną spadzistość, przysłoniętą kobiercem różowego wrzosu; tam, otuliwszy nogi spódnicą, a ramiona skrzyżowawszy pod głową — rozciągnęła się na ziemi. Idący za nią Bigarreau ukląkł o kilka kroków i patrzył, jak się do snu układała. Rozkoszna śpioszka z wrzosowego posłania obserwowwała w pół przymkniętymi oczami milczącego towarzysza, oraz nieruchome drzewa i błękit, przeglądający przez gałęzie; następnie z wolna brunatne powieki jej opadały — rzęsy skleły się i zasnęła.

Bigarreau, ciągle klęcząc, zbliżył się do niej. Zdjął swój kaftan i ostrożnie położył go na gołych stopach Noriny. Potem ułamał dużą kiść paproci i użył jej zamiast wachlarza, aby komary snu jej nie przerywały.

Dużo miał do czynienia. Wodne komary, nader uprzykrzone w gorącu, latały za monotonnym brzękiem wokoło, chcąc koniecznie usiąść to na ramieniu, to na szyi, to wreszcie na brunatnym policzku dziewczyny. Uczeń od czasu do czasu przerywał swe zajęcie, żeby z zachwytem popatrzeć na Norinę, która w swej wiejskiej, w pół rozwiniętej piękności była isticie czarującą. Nawet tańczące komary zdawały się podziwiać ten pączek delikatny; czarnymi skrzydłami lekko muskały długą rzęsą ocienione powieki, opalone ręce i szyję, z której zesunęła się luźnie zapięta koszulka.

Bigarreau, przedwcześnie zepsuty i rzucony w więzienną kałużę, gdzie roziło się od występków, jak w bagnie od pijawek, spoglądał na Norinę z dziwnym uczuciem. Wzruszenie, jakiego doświadczał, miało coś w sobie z łagodnego zdumienia i czi bezwiednej; było to zastanowienie się dzikiego przed jakimś pięknem nieznanem. Ów włóczęga, który wzrosł pomiędzy wczesnie zepsutymi niepokornymi, pojął nagle wdzięk niewinności i dziewiczy nieokreślony powab — a to spostrzeżenie pomieszczone z uczuciem wdzięczności i kłiwości wprawiło go w prawdziwy zachwyt.

Patrzył na Norinę z podziwem — i podziwiająca ta, pobożna obserwacya uszczęśliwiała go bezmiernie. Wokoło piętrzyły się olbrzymie masy liści, jak gdyby wziąć go chciały wespół z nadobną śpioszką w spokojną opiekę. Ciszę przerywał tylko szmer strumyka pospieszonym biegiem ginącego w zaroślach — jako też oddalony głos gruchających gołębi. Słońcem czerwono zabarwione wrzosy wydzielaly woń przejmującą, podobną do zapachu dojrziałych porzeczek; łądygi janowcu wznosiły tu i owdzie swe czarne strączki i kwiaty złociste; niebieski motyl przyfrunął bez szmeru, usiadł przez chwilę na purpurowej Norwinicy, i leciał dalej. Trwało to z godzinę — poczem Norina otrząsała zasiane wrzosem sploty, wyciągnęła ramiona, a uśmiech zaigrał jej na ustach.

— Już się obudziła? — szepnął Bigarreau.

— Nie śpię od dawna, alem cię podpatrywała.

— I nie mówiłaś nic?

— Nie! — Bo byłbyś się poruszył, a sprawialo mi przyjemność widzieć cię klęczącym przy sobie.

— Rzeczywiście? spytał zaczerwieniony.

— Tak jest, patrzałaś na mnie pocziwemi oczyma, miło mi więc było leżeć bez poruszenia, wiedząc, że jesteś w pobliżu. Nie boję się ciebie, jak Champenois.

— Champenois? dla czego?

— Tak jest, boję się czeladnika mego ojca. Ten zawsze następuje mi na pięty, a skoro w las idę, ściga mnie wszędzie. Cierpieć go nie mogę.

— Prędkoż powróci?

— Pewnie niezadługo, poszedł tylko na dni czternaście. Gdyby tam został na wicki, nie płakałabym wcale. — Ale wróci!... zresztą ojcu zależy na nim, gdyż dobrym jest robotnikiem

Bigarreau posmutniał. Nienawidził już z góry tego Champenois; wzmianka Noriny wystarczała, aby go znienawidził i uważał, jako burzyciela pokoju w wyrębie.

— Słuchaj, Klaudyuszu, mówiła dziewczyna, gdy on powróci, staraj się być z nim jak najlepiej, zazdrosny bowiem jest, podstępny i gdy mu się coś w tobie nie spo-

dobą, gotów ci nieszczęście sprowadzić. Szli drogą ku wyrębowi.

Słońce zapadało już na horyzoncie, przedłużając cienie budynków na ukośnej równinie wyrębu, gdzie krzaki i zarośla zdawały się płonąć w złocistym blasku. Ojciec Vincart miał zmierzchem powrócić i Norina musiała zabrać się do przyrządzenia wieczornego posiłku. Zaczepnawszy wody u źródła, podczas gdy Bigarreau rozpałał ogień na dworze, przywiązała niebieski fartuch i zaczęła oczyszczać jarzyny na zupe. Uczeń, korzystając z wolnego czasu, łupał trzaseczki, przyczem patrzył ciągle na Norinę, zajęętą pilnie swem gospodarstwem. Siedziała na pniu drzewa i nucąc piosnkę, rozkrawała szybko kartofle i rzepę na cztery części.

Słońce coraz głębiej zapadało za lasem. Olbrzymia, do czerwoności rozpalona kula przeglądała przez wysokie gałęzie, a szumiący w trawie strumień połyskiwał purpurą, podczas gdy nad głowami przejrzyste, bezchmurne niebo przybrało barwę turkusową.

Z cichym świegotem ptaki wyszukiwały gniazd w liściu, tylko kawki kłóciły się w gąszczu hałaśliwie. Zciemniało powoli, słońce zniknęło; smukłe kwitnące dzwonki miały już tylko odcień liliowy; w głębi powoli podnosiła się wilgotna, biała mgła; a szmer wody stawał się wyraźniejszym w ciszy leśnej.

Kocioł nad żarem cicho zasyczał. Bigarreau opuścił kłodę i rozciągnął się obok spopielonego ognia na suchej trawie u stóp Noriny. Nie mówili nic ze sobą, podnieśli głowy i patrzeli razem na gwiazdy, występujące na stropie ciemno błękitny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Ze wsi, w styczniu, 1889.

Niech Szanowna Redakcyja „Domu polskiego“ nie obwinia „Wielkopolanki“, że dla niego zobojetniała, lub o nim zapomniała — bynajmniej! Dłuższego, głuchego milczenia inne były powody, które usunawszy, pragnę znów od czasu do czasu pogawędzić z Łaskawemi swemi Czytelniczkami, przeselaając Im, jako też Szan. Redakcyi nieco opóźnień, ale serdeczne życzenia na nowy 1889 rok.

Rok ten nowy zawitał w śnieżne przybrany szaty! Lecz tak u nas na wsi smutno, tacyśmy przygnębieni, że nawet tego zwykle z otuchą witanego gościa — wbrew tradycyjnej, staropolskiej gościnności — nie powitaliśmy tym razem huczną, wesołą zabawą, ale po części poważnie, cicho, w ścisłem kółku rodzinnem. — Zarzucono pytaniami, zbył je milczeniem tajemniczem, zaspokajając mniej natrętnych cichym szeptem: „Jest Bóg na niebie, wierzcie i ufajcie!“

Od dni więc kilkunastu rozgościł się wśród ziemskich dzieci nasz nowo-przybyły, rozłożył księgę zagadnień... ale sam do niej zagłada, sam tylko wie, co w niej zapisano tam w górze, w tych niezgłębionych i niezbadanych wyrokach Bożych. Jakimi będą losy ludzkości, narodów, rodzin i jednostek — przyszłość okaże; w każdym razie wierzymy i ufajmy, że się źle skończy, a dobre zacznie.

Ostatecznie rok ów nowy nienajgorzej rozpoczął swe rządy nad nami; pola — jak okiem dojrzeć — okrył śnieg tak lśniący-biały i puszysty, że nieraz i poważniejszym przychodzi ochota w nim pohulać!... z liści ogołocone drzewa, także nim pokryte, za najmniejszym podmuchem wiatru napełniają powietrze tysiącami śnieżnych płateczków, kąpiących się w promieniach jaśniejszym już i weselej patrzącego słońca!

Hojną ręką obdarował rok - nowy dobroczynne zakłady i instytucye wielkopolskiego naszego grodu; a na

jednym z będących obecnie na porządku dziennym polowaniu zakupiono kilkanaście akcji na „Bank ziemski.“ Małą też pociechą w złej doli jest wyszłe ministra spraw wewnętrznych rozporządzenie, aby polskie rodzinne nazwiska zapisywano do akt stanu niezmienną polską pisownią, nie zastępując głosek polskich niemieckimi. Miejmy nadzieję, że tym sposobem i przechrzczone, zgermanizowane nazwy odwiecznych wielkopolskich miast i wsi do pierwotnej wrócą pisowni.

Wreszcie rozwiązanie sprawy profesora Geffkena winno rozweselić serca wszystkich tych, którzy — oburzając się słusznie na bezczelne potwarze — holdują prawdzie i sprawiedliwości.

Oby tylko teraz szczęśliwie i pomyślnie biedny nasz „Bank ziemski“ stanął u celu: serce ścisła się niepewnością i obawą, aby nie upadł i nie pociągnął za sobą w przepaść całego pasma nieszczęśliwej ziemi ojczystej: wprowadźcie bracia Galicyanie przyrzekli pomoc z swej strony, ale czyż to wszystko wystarczające, aby lud i ziemię wielkopolską od zagłady uchronić?...

Zapytajmy siebie samych, skąd dziś niewiara i nieufność taka do instytucji, niedawno z takim wznoszonej zapalem?... do instytucji z celem tak szlachetnym?...

Albo czyżby ta nieufność odnosiła się do jej założycieli i kierowników, tak słabo, obojętnie i bez energii ją podtrzymujących? — „Bank ziemski runie, jak ich już wiele runęło“ — mówi ogół. A dla czego tak mówi?... przecież exstencja „Banku“ od nas tylko zależy: nie dajmy mu runąć. Choć raz utworzmy z całego naszego społeczeństwa silny łańcuch jedności; nie dozwolmy, aby lenistwo, niechęć, prywata i tym podobne gubiące nas słabości i tę narodową, konieczną, a w związku dopiero będącą zaprzepaściły instytucją. — Wobec patrzących na nas z wiecznych przybytków męczenników i bohaterów narodu podajmy sobie ręce do zgodnej, wspólnej, skutecznej pracy. Wadą naszą narodową — wyznać musimy — jest, że za pierwszą napotkaną trudnością, za pierwszą przeciwnością ustajemy w pół drogi, zapominając, iż każde dzieło pocziwe musi ciężkie przechodzić próby. Bądźmy na nie przysposobieni, mężnie stawmy im czoło, a rąk nie opuszczajmy i za pobitych się sami nie uznawajmy — bo wtedy dopiero byłaby rzeczwiista przegrana.

Ze w naszej biednej Wielkopolsce wiele jest do działania, do założenia, do utrzymania, każdy przynajmniej, że nam wiele potrzeba pieniędzy — i to prawda, ale więcej jeszcze potrzeba... dobrej woli i chęci, gorliwości, wytrwałości! Starajmy się zrozumieć, że mogą zdarzyć się chwile, w których zwolnić kroku trzeba, ale u s t a w a ć — n i g d y!

### Wielkopolanka.

## TEATR.

Większa część komedii p. Edwarda Lubowskiego, jak: „Nietoperze,“ „Ubodzy w salonie“ itd., jakkolwiek zajmujące treścią i o szlachetnej tendencji, nużą widza przeciągłością i nie są w stanie utrzymać jego uwagi na wodzy. Te same zalety i wady posiada również jego 5cioaktowa, przed dziesięciu laty napisana, a obecnie pierwszy raz w Poznaniu przedstawiona komedia: „Sąd honorowy.“

Bogaty właściciel ziemski, Marchoń, (p. Skirmunt) znudzony ciągłymi gospodarskimi kłopotami, chce się pozbyć swego majątku, a ponieważ kupca nań nie znajduje, udaje chorego, i robi z dwoma spekulantami, Owczyńskim i Wrzaniewiczem (pp. Siedlecki i Popławski) układ, w którym ci ostatni godzą się wypłacać mu aż do śmierci rentę roczną 80000 rbs. Podstęp się udaje, ale dwaj lichwiarze, poznawszy się na nim, chcą się ze złego intere-

su wycofać. Na nieszczęście wyzywa ich jeszcze Michał Marchoń, siostrzeniec i spadkobierca starszego Marchońta, za oszczerstwo na pojedynku, ale ci, bić się nie mając ochoty, zwołują na Michała sąd honorowy, złożony z samych ich przyjaciół i zwolenników. Mimo to sami spekulanci potępieni i wyśmiani zostają. W końcu układ z lichwiarzami zrywa się, a Michał, pojednawszy się z stryjem, żeni się z Henryką, młodą wdówką, swą kuzynką, i staje się jedynym jego spadkobiercą.

Palma pierwszeństwa należy się tym razem panu Skirmuntowi, który, jako Marchoń, świetnie się wywiązał z swego trudnego zadania.

Panu Jakubowskiemu do dokładnego wycieniowania postaci Michała Marchońta przeszkadzało niedokładne wyuczenie się roli.

Pp. Siedlecki i Popławski dobrymi byli karyerowiczami.

We wtorek, dnia 15 bm., powtórzono częściej już grywaną na scenie naszej 4 aktową komedią Schöntana: „Porwanie Sabine.“

W nowo obsadzonych rolach widzieliśmy p. Czechowicz, jako żonę dr. Neumeistra Maryą, i p. Morską, jako młodszą jej siostrę Paolę. Obiedwie artystki grały ku zupełnemu zadowoleniu widzów. — Pani Czechowicz kwalifikuje się znakomicie do ról młodych, najwzrostek mężatek, zwrócić jej jednak winniśmy uwagę na niedość wyrobiony organ, który też może pod wpływem mroźnej temperatury staje się bezwzdzięcznym i monotonnym. P. Morska w naiwną rolę Paoli wlała potrzebną dozę wyzucia i uczucia, zwłaszcza zaś scena kładzenia kabały wywołała liczne oklaski.

Komiczną postać dyrektora teatru odtworzył p. M. Trapszo z tym prawdą tryskającym humorem, którym zdolny ten artysta z podziwu godnym mistrzostwem posługiwać się umie. P. Siedlecki, jako profesor Golwitz, i p. Królikowska, jako Fryderyka, jego małżonka, zyskali — pierwszy za plastyczne uwydatnienie swego safundulstwa, druga za swoje nieograniczoną energią — zupełne uznanie publiczności. Pan Janowski w rolę Dr. Neumeistra ożywczy humor i werwę.

W czwartek, dnia 17. b. m., odegrano na benefis powszechnie cenionego i lubionego artysty a zasłużonego od lat wielu reżysera sceny naszej, p. Skirmunta, komedią Scribego i Legouwego w trzech aktach p. t. „Walka kobiet czyli pojedynki na polu miłości,“ w której autor przedstawił miłość kobiety dojrzałej, rozumnej i szlachetnej w przeciwstawieniu do miłości młodej, naiwnej dziewczynki — rozwagę i heroizm pierwszej, rozpacz i zupełne wątpienie drugiej.

Henryk de Flavigneul, (p. Skirmunt) zacięty Bonapartysta, znajduje — prześladowany przez royalistów — schronienie w życzliwym sobie domu hrabiny d'Antreval, (pani Janowska) pod maską służącego i zyskuje sobie miłość nie tylko samej hrabiny, ale również i jej siostrzenicy Leoni (p. Czaplínska). Baron de Montrichard, (p. Siedlecki) prefekt policyi, stronnik króla, przybywa do zamku w celu poszukiwania zbiega i zostaje oszukany dowcipnie przez hrabinę, która mu podsuwa tchórzliwego Gustawa de Grignon, zakochanego w niej do szaleństwa. Podstęp wydaje się za późno, gdyż Henryk, skryptem królewskim ulaskawiony, łączy się związkiem dozgonnym z Leonią.

P. Janowska w roli hr. Antreval imponowała i czarowała; umiała zaś przede wszystkim z niezrównanym wdziękiem oddać to, o czem sama wspomina, to jest: pod maską smutku śmiech, a pod maską wesołości płacz, czem na każdym kroku zdołała wprowadzić w błąd pocziwego barona de Montrichard.

P. Czaplínska, jako Leonia, scharakteryzowała dobrze naiwną tę i trwożliwą istotę, która przez swoje niedoświadczenie wydaje prawie mimowoli swego ukochanego w ręce policyi, i w każdym wątpieniu widzi jedyne ocalenie w energii swej ciotki. Pan Janowski, jako

Gustaw de Grignan, był pod każdym względem świetnym, eleganckim. Za zasługę mu także poczytujemy, że mimo znacznej dozy komizmu uniknął przesady i szarżowania. Pan Siedlecki uwydatnił w roli barona de Montrichard z jednej strony tę prawie dziecięcą naiwność, z drugiej pewność siebie, cechującą indagujących urzędników, którzy szukają częstokroć jak najdalej mniemanych przestępców, nie odgadując ich w najbliższym otoczeniu. —

Na zakończenie zwróćmy uwagę na grę samego beneficjanta, p. Skirmunta, jako Henryka de Flavigneul. — Staranne wypracowanie roli, głębokie obmyślenie charakteru, wcielenie się, że tak powiemy, w kreację, uwydatnił artysta przede wszystkim w ciężkiej walce z sobą samym, którą z dwóch kochających go prawdziwie, bo poświęcających się dlań istot — wybrać. To też publiczność, przepelniająca teatr po brzegi, grzmiąciami oklaskami dała dowód ulubionemu artyście, jak go ceni i wielbi, a ściśle kółko przyjaciół i znajomych pozwoliło sobie wręczyć szanownemu beneficjentowi mały upominek z prośbą, aby i nadal z tą samą gorliwością, wytrwałością i zamiłowaniem pracował dla narodowej poznańskiej sceny.

St.

## Wiadomości bieżące.

W czwartek, 17 b. m., o godzinie 5-tej po południu w przybranej strojnij w zieloność i kwiaty sali posiedzeń, w domu wikaryackim, zebrała się w liczbie kilkudziesięciu panów reprezentacya kościoła św. Marcina z p. Dr. Koszutskim, jako przewodniczącym, na czele, w celu pożegnania czcigodnego ks. kanonika Pędzińskiego. Wprowadzonego przez przewodniczącego i czterech innych członków reprezentacyi powitał na wstępie śpiew choralny chłopców z parafii święto-marcińskiej odpowiednią do uroczystości pieśnią na cztery głosy. Następnie p. Szpetkowski wręczył żegnanemu kapłanowi piękne album z fotografiami członków reprezentacyi, a p. dr. Koszutki odczytał pożegnalny adres, w którym nasamprzód w imieniu 22 tysięcy dusz liczącej parafii wyraził Mu serdeczne podziękowanie za blisko 20-letnią około jej zbawienia pracę, „za cierpliwość, wytrwałość i gotowość do ofiar,“ z jakimi czcigodny kapłan krzątał się około jej dobra. Wynurzywszy w dalszym ciągu wdzięczność za to, co dotychczasowy proboszcz święto-marciński zdziałał dla samego domu Bożego, który dziś tak w okazałej przedstawia się postaci — i boleść z powodu rozstania, zakończył swe przemówienie prośbą, aby ks. kanonik raczył pozwolić swoim portretem ozdobić salę posiedzeń.

Wzruszony do głębi serdecznemi słowami adresu, oświadczył w odpowiedzi czcigodny ks. kanonik, że, jakkolwiek zadaniem Jego, jako dusz pasterza, było zawsze zjednać sobie zaufanie i serca swych parafian, nie dążył do celu drogą pobłażania, lub schlebiania, ale przez nieugięte trzymanie się przepisów, przez wskazywanie ciernistej drogi obowiązków. Tem więcej dziś ceni tak żywo okazywaną sobie miłość parafian, tego iście ludu Bożego, że ich nie odstręczył nawet szorstkim niekiedy pozorem obejścia, lub wypowiedzenia prawd. Za ten lud Boży będzie się modlił i nadal przy każdej mszy św. o błogosławieństwo i łaskę nieba. — Udziela wreszcie, choć wbrew swym zapatrywaniom, pozwolenia na zawieszenie w sali posiedzeń swego

obrazu, bo w rzewnej chwili rozstania nie jest zdolnym odmówić czegośkolwiek tym, co całym Jego zawładnęli sercem.

Po ostatecznem pożegnaniu się szan. ks. kanonika z obecnymi, ci sami członkowie reprezentacyi, którzy Go wprowadzili na salę posiedzeń, towarzyszyli Mu teraz do domu.

Gdy w ostatniej chwili rozłączenia się z Tobą, najczcigodniejszy Księżę Kanoniku, łzami żalu wezbrały serca kilkudziesięciu wiernych dzieci Twoich, które czują dobrze, kogo w Tobie tracą, racz łaskawie pozwolić, aby i redakcyja miejscowego skromnego pisma literackiego złożyła Ci wyrazy wdzięczności i przywiązania niewygasłego, wyrazy hołdu i czci najgłębszej, jako żarliwemu pasterzowi dusz w duchu iście Chrystusowym, jako zacnemu obywatelowi kraju i gorącemu patriocie. Niech błogosławieństwo Boże towarzyszy Ci na każdym kroku i wiedzy do najwyższych dostojeństw!

## Promyki.

(Podał Dr. J. K.)

Serce — to uczucie, mózg — to rozum; ponieważ jednak serce i rozum ściśle się wiążą i w ciągłych z sobą znajdują się stosunkach, stąd wypada, że niedostateczne rozwinięcie jednego z nich wytwarza typy potworności psychicznych. Rozum bez uczucia jest okrętem, który posiada sternika, lecz nie ma żagli; serce bez rozumu — to znowu okręt, który ma żagle, lecz nie posiada sternika.

Im na wyższym szczeblu rozwoju stoi pewna organizacyja psychiczna, tem głębszy i mocniejszy zachodzić musi związek pomiędzy jej rozumem i uczuciem. Przez brak uczucia rozum — w warunkach najlepszych — podobnym będzie co najwyżej do najdoskonalszej maszyny rachunkowej, lub do nader zręcznego szachisty, nigdy przecież nie osiągnie stopnia genialnego wszechogarniającej, tworczej, zdobywającej się na nowe sposoby i nowe metody — genialności owej, która stanowi przedmiot podziwu i zachwytu ludzi.

Prof. Mierzejewski.

## LISTKI.

**Wielkopolance:** Młodej, sympatycznej naszej korespondentce dziękujemy serdecznie za miły liścik, za życzenia, za „skuteczne rozszerzanie“ „Domu polskiego“ i wszelkie objawy życzliwości dla naszego pisma. Ze swej strony ślemy Jej niemniej serdeczne noworoczne życzenia, oraz wyrażamy pragnienie, aby Jej przykład szczerego zajęcia się „wielkopolskim jedynakiem“ — jak ktoś niegdyś nazwał pismo nasze — udzielił się i innym młodym Jej towarzyszkom na prowincyi, które wśród długich zimowych wieczorów niejedną chwilę poświęciłyby mogły korespondencyi z „Domem polskim“ ku swemu i pisma pożytkowi.

## SPROSTOWANIE.

W ostatnim uumerze „Domu“ zamieściliśmy — mylnie poinformowani — że owa z dziesięciu panów złożona deputacyja żegnała ks. kanonika Pędzińskiego w nowem Jego mieszkaniu na kanonii, tymczasem pożegnanie odbyło się na probstwie, co niniejszem sprostujemy.

TREŚĆ: Wiersz na 58-mą rocznicę listopadowego powstania. Erwan. — Nieco o obyczajach staropolskich. — Bigarreau. Nowela Andrzeja Theuriet. Tłom. J. D. (Ciąg dalszy nastąpi). — Korespondencya „Domu polskiego.“ Ze wsi. Wielkopolkanka. — Teatr. St. — Wiadomości bieżące. — Promyki. Podał dr. J. K. — Listki. — Sprostowanie.